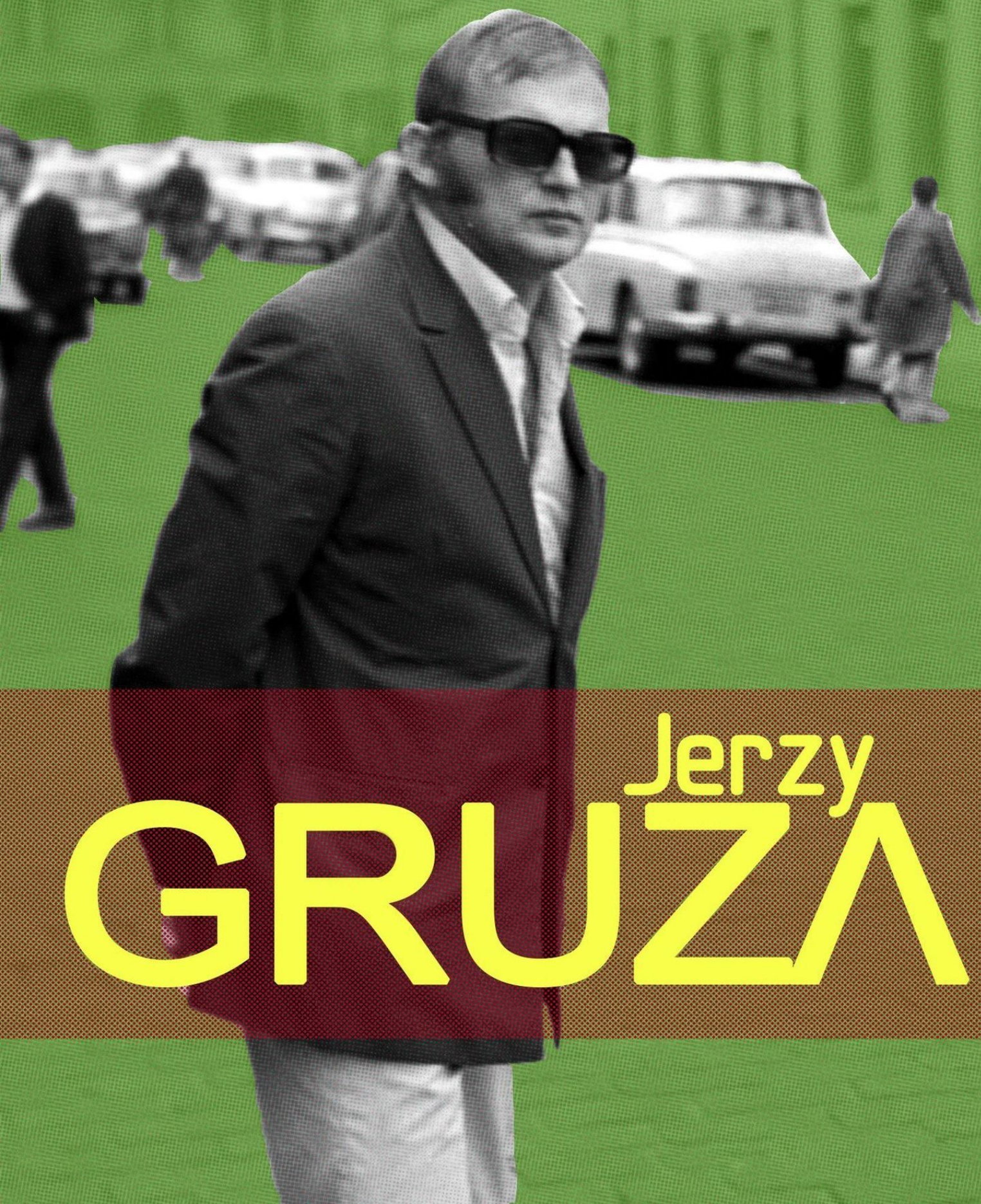


Pasaże warszawskie



Jerzy
GRUZA

Jerzy Gruza

PASAŻE WARSZAWSKIE

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-46-0

Copyright © Jerzy Gruza 2004

Licencja: ZAiKS

Projekt okładki: Iwona Białas

Na okładce: Jerzy Gruza na planie filmu „Dzieciół” (1970)

Foto na okładce: Jerzy Troszczyński (autor), FilMOTEKA Narodowa (licencja)

Spis treści

[WSTĘP](#)

[KAMIENICA](#)

[SLIPY W SOCJALIZMIE](#)

BYWALCY

UPAŁ

NIEWIDOMY W METRZE

KAROL

NA PIĘTRZE

PO DWUDZIESTEJ DRUGIEJ

OKRĄGLAK

PALI SIĘ

PREMIERY FILMOWE

ULICA TARCZYŃSKA

DRAPACZ CHMUR

„BARYŁECZKA”

„MANEKIN”

OGRÓDEK JORDANOWSKI

WIELKANOC

FILTRY

TENIS

BAR „PRAHA”

TRZEBA BYŁO BYĆ

OFF

BRAK MOCY PRZEROBOWEJ

CIEĆ

CZYTANIE GAZET

DUPĄ DO WISŁY

FIRMA PORTRETOWA

GDZIE TERAZ SIEDZĄ?

KAZIO

MENU

NOWOBOGACCY

PO DRUGIEJ STRONIE ULICY

POCHWAŁA MIASTA

„SUPER SAM”

POGOTOWIE NA HOŻEJ

HOTEL „POLONIA”

PUSZKA PANDORY

SUKCES

WARSZAWSKIE GOŁĘBIE

WIECZNE PIÓRO

ZBRODNIA

SZACHY

KOMENDA NA WILCZEJ

PRZED „ADRIĄ”

PRZEJŚCIE DLA PIESZYCH

DWORZEC WILEŃSKI

PODBIĆ WARSZAWĘ

WSTĘP

Jerzy Gruza – reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny, aktor, scenarzysta, piszący ostatnio zabawne felietony. „Pasaże warszawskie”, to zbiór inteligentnych i ironicznych obserwacji miasta. Własne wspomnienia, anegdoty i przywołane z pamięci znane miejsca oraz postacie z telewizji, teatru i estrady śmieszą i bawią. Zawsze jednak niosą ze sobą nutę refleksji i zamyślenia nad czasem, który oddala i zaciera wspomnienia. Ta książka nie pozwala na zbyt szybkie zapomnienie ludzi i miejsc bliskich sercu autora.

Gustaw Holoubek: To dobrze, że Jerzy Gruza jest z wykształcenia i powołania reżyserem. Wszystko, o czym pisze bierze się u Niego z namiętnej obserwacji innych ludzi, z prób wnikliwego dotarcia do najcharakterystyczniejszych cech ich osobowości. Robi to z wyraźnym talentem, inteligentnie i z niezwykłym poczuciem humoru. Okazuje się, że Jerzy Gruza jest także pisarzem.

KAMIENICA

Zawsze gdy jadę wiaduktem nad Alejami Jerozolimskimi obok Dworca Centralnego, mijam wysmukły, kolorowy biurowiec, który stoi na rogu Alei Niepodległości, naprzeciwko hotelu „Marriott”. Biurowiec jest wysoki, w czarne i kolorowe kwadraty, nowoczesny, z przyciemnionymi oknami, jeden z pierwszych w Warszawie. Stał na miejscu starej kamienicy, w której mieszkałem w latach sześćdziesiątych. Kamienica została zburzona w związku z budową dworca. Swoją szerokością zawadzała o kilka metrów projektantowi, który zaplanował tam wejście do podziemia. Totalna bzdura!

Zburzono starą, wyjątkowo zdrową kamienicę, która cudem przetrwała wrzesień 39 roku, bombardowania w czasie okupacji, powstanie warszawskie, pożary wzniecane na rozkaz Hitlera po powstaniu, bo nie pozwalała na wykopanie przejścia do dworca, którym dzisiaj mało kto odważy się przejść, bo może dostać nożem albo pałką w łeb.

Była to typowa warszawska kamienica, jak inne ocalałe z wojny w tym rejonie, z wielopokojowymi mieszkaniami, wykuszami, ozdobnymi klatkami schodowymi, mieszkaniem dla dozorczy w bramie i podwórkiem-studnią.

Wynajmowałem tam jako sublokator pokój w mieszkaniu, którego gospodarz aresztowany przez UB został skazany na dożywocie. Jego żona z biedy i nędzy wynajmowała pokoje, sama gnieźdząc się w jednym małym pokoiku z dwójką dzieci.

Pomieszczeń było siedem. W każdym mieszkali inni ludzie. Ja zajmowałem pokój przechodni. Koszmar! Tam nabawiłem się bezsenności i nerwicy, gdyż wszyscy lokatorzy przechodzili przez mój pokój do łazienki o najróżniejszych porach dnia i nocy.

Obok mnie miał pokój reżyser filmów o wojsku, z drugiej strony łączyły mnie drzwi z kobietą, która pracowała w nasłuchu radia Wolna Europa. Słuchała w nocy tego, co Nowak Jeziorański nadawał, gdzieś na obrzeżach Warszawy, robiła biuletyn dla członków KC, wracała rano, siedziała w łazience przez godzinę i szła spać. Pewnie była nasłana przez Służbę Bezpieczeństwa. W innym pokoju mieszkali państwo inżynierostwo, on był ekspertem ds. motoryzacji i o najróżniejszych porach wzywano go do wypadków drogowych. Później szedł do łazienki, jedynej zresztą. Miał prawo.

Kuchnia była ogromna. Ciemna, okna wychodziły na podwórko. Obok była kanciapa dla służącej, wielkości dwa na dwa metry. Tam mieszkał poeta. Coś sobie dłużył przy lampce, pisał, coś czytał. Mógł tylko leżeć. Na nic innego nie było miejsca. Był to Zbigniew Herbert. Też korzystał z łazienki, ale nienatrzętnie.

Reżyser filmów o wojsku był wybitny nie tylko w swojej dziedzinie, ale też na polu erotyki miał niezłe osiągi. Tabuny kobiet w różnym wieku przewalały się przez mój pokój w drodze do jego sypialni. Pracował na tzw. ostatni środek lokomocji. Cynicznie zabawiał damę literaturą, czytał jej poezję, miał zresztą tylko jeden zbiorek poezji Staffa, coś jej recytował, przetrzymywał do godziny, kiedy Warszawa pustoszała z autobusów, tramwajów i wtedy proponował kulturalny nocleg. Zostawi ją tam samą, a on będzie spał u mnie. Udawał się do kuchni, kiwał do mnie, smażył coś na kolację, zjadaliśmy, czasami częstował Herberta, a kiedy tamta już wykąpana leżała w jego łóżku, spokojnie wchodził do swego pokoju pod byle pretekstem i potem widziałem ich już rano, gdy wychodzili zakochani w sobie.

Na jeden dzień.

Pokój przechodni miał i tę niedogodność, że wszyscy goście innych mieszkańców mogli spokojnie korzystać z mojego telefonu. Kiedyś wracam do domu i słyszę już w korytarzu, jak ktoś głośno rozmawia przez mój telefon. Wchodzę i widzę, że redaktor „Ekspressu Wieczornego”, Tomasz Atkins, leży na moim tapczanie ze słuchawką przy uchu. Rozmawia z ambasadą amerykańską. W związku z tym, że takie rozmowy były na podsłuchu, to skorzystał z mojej nieobecności i relacjonował sekretarzowi ambasady, co dzisiaj rano towarzysze sekretnie ustalali na Biurze Politycznym.

- Tomek, czy ty masz źle w głowie! Odwal się od mojego telefonu!
- Ile to ma kosztować? Ja ci zwrócę za ten telefon.

Wyjechał do Nowego Jorku. Nie zwrócił. Po latach z trudnością go poznałem, on mnie też. Poszliśmy na wódkę.

Nie spodziewałem się, że dożyję takiego momentu, kiedy telefonowanie do obcych ambasad będzie całkowicie legalne, a nawet mile widziane, zaś Nowak Jeziorański, którego po nocach słuchałem w Wolnej Europie, przyciskając ucho do radioodbiornika, będzie do mnie przemawiał ze sceny Teatru Wielkiego w Warszawie z okazji przyznania mu Super Wiktora. Bez zagłuszania!

No, ale tak toczy się koło historii i nie wiem, czym mnie jeszcze zaskoczy, kiedy będę przejeżdżał obok tego magicznego dla mnie miejsca, gdzie stała stara, warszawska kamienica pełna tajemnic, których starczyłoby na kilka powieści i setkę anegdot.

Może jeszcze do niej wrócę.

SLIPY W SOCJALIZMIE

Państwo nie produkowało slipów kąpielowych. Szły je przy pomocy jednej baby w swoim domu Stasio. Stasio był przystojnym blondynem w złotych okularach, spokojnym i zrównoważonym, podobnym do angielskiego aktora Michela Caine'a. Przychodził codziennie na basen „Legii”, bo był pierwszym z całej grupy, który wyrwał się z socjalizmu i zależał wyłącznie od siebie. Miał gdzieś karierę, studia, pracę w urzędach. Trafił w niszę „slipową”: brak kąpielówek na rynku. Kupował więc za tanie pieniądze materiał na sukienki w kwiatki i szły slipy na wzór takich, jakie zobaczył w jednym z zagranicznych pism. Szły jak woda, najpierw wśród „legionistów”, a później w prywatnych sklepach na Chmielnej, komisach i dalej.

Miał zawsze świeżą gotówkę, ale był bardzo oszczędny i przebiegły. Zazdrościliśmy mu trzeźwości w stosunkach z kobietami. Zwykle po zabawach w „Bristolu” odwoziło się panny taksówkami, mając w perspektywie nocleg ze śniadaniem. Nieustanne utarczki w taksówce, że „może jutro”, „dzisiaj muszę wracać do domu”, „mama czeka”, „tatuś będzie się gniewał”, „mam jutro rano kolokwium”, zwykle kończyły się zwycięstwem panny, która odjeżdżała taryfą, zostawiając amanta samego.

Ale nie u Stasia. On po prostu, gdy panna nie była chętna na „nocowanie”, wyrzucał z taksówki jej torebkę z kosmetykami, a przecież nie ma kobiety, która zostawi kosmetyki, kalendarzyk (była wtedy moda na metodę Ogino i Knausa) i odjedzie do domu. Panna zawsze wybiegała za torebką, Stasio spokojnie płacił taksówkarzowi, który dyskretnie zniknął, a potem przepaszając za chwyt poniżej pasa, razem z dziewczyną szukał w krzakach torebki. Po upojnej nocy wybaczała mu wszystko.

Kazio P. – „Peta”, niezwykle pracowity wśród małałatów, uległ niesamowitemu wypadkowi. Jechał samochodem za ciężarówką z jakimś żelastwem i gdy zahamował, a potem gwałtownie ruszył, z ciężarówki zsunęła się zardzewiała rura, która przebiła przednią szybę i przyszpiliła go do oparcia fotela. Straż pożarna musiała palnikami odcinać fotel i razem z nim wieść Kazia do szpitala. Chirurdzy cudem oddzielili go od samochodowego siedzenia. Wykaraskał się i dalej z wigorem działał przez wiele lat na bankietach i zabawach towarzyskich. Od tego czasu na „Legii” Kazia przezywano: „Szaszłyk”.

Był to przerażający wypadek, który paraliżuje mnie do dzisiaj. Kiedy jadę po polskich szosach za ciężarówką ze złomem, trzymam się zawsze w przyzwoitej odległości. Nie każdy ma takie szczęście jak „Szaszłyk”.

Na basenie „Legii” grano namiętnie w brydża. „Piast Kołodziej”, jeden z najprzystojniejszych chłopaków na basenie, jak żywcem przeniesiony z erotycznych rysunków Mai Berezowskiej, siadał do kart i grał do zachodu słońca, nieczuły na zaczepki i westchnienia leżących dookoła pań.

Tu „Skoli” czytał mi, wśród gwaru plażowych rozmów, pierwszy szkic Noża w wodzie, który na początku był jednoaktówką dla telewizji... Nie mogłem się skupić.

Inżynier Rzeszotarski, „Wuj”, korpulentny, na mieście zawsze pod muszką, o wyglądzie zażywnego starszego pana, mimo że był od nas niewiele starszy. Podobno kuzyn Zbyszka Cybulskiego, mówiło się, że w linii matki z Jaruzelskich... Skąd miał pieniądze, nikt dokładnie nie wiedział. Lekarstwa, narkotyki, jakiś bliżej nie określony biznes. Siedział na basenie i w odpowiednim momencie, gdy obok była młoda kobieta, przekładał z jednej kieszeni szlafroka do drugiej kieszeni, niby przypadkiem, nylonowy woreczek wypchany banknotami, tzw. „góralami” o nominale 500 złotych.

Kiedyś prowadząc wielkiego amerykańskiego odkrytego Lincolna, w kolorze jaskrawoczerwonym, „Wuj” przejechał na wsi chłopą, prawie odcinając mu nogę. Zatrzymał się grzecznie, wręczył mu nylonową torebkę z kasą, a cała wieś wyległa na drogę i razem z kaleką błogosławiła... odjeżdżającego.

Adaś Pawlikowski... przyjeżdżał na rowerze sprowadzonym z Anglii, czymś w rodzaju dzisiejszego roweru górskiego, ze wszystkimi bajerami. Gardził samochodami, chyba że z kierowcą. Wtedy jeździł z „Wujem”, bo wujowi zwykle szoferował Stasio Dalka. Dalka był rajdowcem znanym z największej liczby wypadków. Miał najbujniejszą fantazję, znakomity refleks, błyskawiczną orientację i zwykle rozbijał po kilka pojazdów naraz, czasami na drodze w kolizji z furą siana, na mieście z taksówkami, z niedzielnymi kierowcami lub babami za kierownicą.

Stasio Dalka grał świetnie w kosza. Na tej skromnej części betonu, ku wściekłości leżących tam kolegów, ćwiczyliśmy tricki z piłką a la „Harlem Globtrotters”, czarnych koszykarzy, którzy wówczas odwiedzili Warszawę. Dryblowanie, zmyłkowe podawanie... Do dzisiejszego dnia Staszek gra w kosza i namawia mnie na przyjscie do hali. Dalka, dwumetrowy drągał, szofer i bodyguard „Wuja”, udzielał mi także wskazówek ekonomicznych.

– Jeżeli zarabiasz tysiąc złotych, musisz odłożyć jedną trzecią. Resztę możesz wydać.

Pół Polski robiło inaczej, ze mną włącznie. Zarabiało tysiąc, wydawało dwa. Może dzisiaj byłbym bogaty, kto wie?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI